

Ray Wilson jak magnes

- Od kiedy zacząłem śpiewać tę piosenkę na koncertach, pojawiły się również dziewczyny, wcześniej przychodzili sami faceci - zażartował Ray Wilson i wykonał „Follow You Follow Me”, przebój zespołu Genesis z 1978 roku. Na reakcję nie trzeba było długo czekać, publiczność zaczęła klaskać, a część ludzi wstała i niczym przyciągnięta przez magnes, podeszła pod scenę. Pozostali tam do końca koncertu, bawiąc się i śpiewając razem z nim. Pokazali szkockiemu artyście, że na Łodzi się nie zawiedzie. On odwdzieczył się im aż trzema utworami na bis.

Ray Wilson przyjechał do Wytwórni wraz z siedmioosobowym zespołem. W jego składzie jest m.in. brat artysty Steve oraz utalentowany gitarzysta Ali Ferguson. Na repertuar koncertu złożyły się hity zespołu Genesis (Ray był wokalistą supergrupy pod koniec lat 90.), Phila Collinsa, kompozycje autorstwa Wilsona, ale i nieśmiertelny hit Dylana.

Od piosenki „Another Day In Paradise” Collinsa zaczęła się podróż ku przeszłości. Wykonując hit „Mama” Wilson przykucnął i zaprezentował publiczności charakterystyczny, przenikliwy śmiech, nawet bardziej emocjonalny i efektowny, niż w oryginalnej wersji. Dalej wybrzmiały takie utwory, jak m.in. „Calling All Stations” czy „Congo”, a także „Carpet Crawlers”. Temu, co działo się na scenie, towarzyszyła widowiskowa gra świateł.

Wykonując utwory swojego autorstwa, Ray Wilson grał na gitarze akustycznej oraz na basie. Wybrzmiały takie piosenki, jak spokojne „Take It Slow” z albumu „Chasing Rainbows” z 2013 roku czy bardziej sentymentalny i nieco dynamiczniejszy tytułowy kawałek z wydanej w 2016 roku płyty „Makes Me Think of Home”. Na koniec występu bohater wieczoru zaintonował hit Boba Dylana „Knockin’ on Heaven’s Door”, którym porwał publiczność do wspólnego śpiewania.

Bilety na koncert nie należały do najtańszych, co zauważył sam Ray Wilson. - O, moja gitara jest rozstrojona. Trzeba to naprawić, wydaliście za dużo pieniędzy, żeby słuchać rozstrojonej gitary - powiedział wokalista. Jednak mimo wysokich cen, sala Wytwórni wypełniona była niemal do ostatniego miejsca.

Tekst i zdjęcia:

Kacper Krzeczewski